KEN FOLLETT

TRZECI BLIŹNIAK

1

Fala upału zawisła nad Baltimore niczym całun. Zielone przedmieścia chłodzone były setkami tysięcy zraszaczy, ale zamożni mieszkańcy pochowali się w domach z włączoną na pełny regulator klimatyzacją. Prostytutki na North Avenue szukały rozpaczliwie cienia, pocąc się pod swoimi perukami, a dzieciaki handlujące na rogach ulic prochami wyjmowały je z kieszeni obszernych szortów. Była druga połowa września, lecz jesień wydawała się jeszcze bardzo odległa.

Zardzewiały biały datsun ze stłuczonym przednim kloszem, oklejonym dwoma krzyżującymi się paskami taśmy, przemierzał powoli leżącą na północ od śródmieścia, zamieszkaną przez białych dzielnicę. Samochód nie miał klimatyzacji i kierowca, przystojny dwudziestodwuletni chłopak, otworzył wszystkie szyby. Ubrany w przycięte dżinsy i czysty biały podkoszulek, na głowie miał czerwoną baseballową czapkę z wypisanym białymi literami napisem SECURITY. Plastikowe siedzenie pod jego udami było śliskie od potu, ale on wcale się tym nie przejmował. Był w wesołym nastroju. Radio w samochodzie nastawione było na stację 92Q – *Dwadzieścia hitów jeden po drugim!* Na fotelu obok leżał otwarty skoroszyt. Mężczyzna zerkał co jakiś czas na naszpikowany specjalistycznym słownictwem tekst, ucząc się

przed czekającym go nazajutrz testem. Nauka nigdy nie sprawiała mu trudności; powinien opanować materiał w ciągu najwyżej kilku minut.

Na światłach dogoniła go blondynka w porsche z otwieranym dachem. Mężczyzna uśmiechnął się do niej.

– Ładny wózek – rzucił.

Blondynka odwróciła bez słowa wzrok, ale zobaczył, że kąciki ust zadrżały jej lekko w uśmiechu. Schowana za wielkimi ciemnymi szkłami była prawdopodobnie dwa razy starsza od niego – starsza od niego była większość kobiet, które jeździły porsche.

– Pościgajmy się do następnych świateł – zaproponował.

Słysząc to, roześmiała się kokieteryjnym muzycznym śmiechem, a potem wrzuciła wąską elegancką dłonią jedynkę i wystrzeliła z miejsca jak rakieta.

Wzruszył ramionami. Tylko żartował.

Mijał teraz zadrzewiony kampus Uniwersytetu Jonesa Fallsa, uczelni należącej do Bluszczowej Ligi, o wiele bardziej nobliwej aniżeli ta, na której sam studiował. Przejeżdżając obok imponującej bramy, minął grupkę biegnących truchtem ośmiu lub dziesięciu kobiet, ubranych w stroje do joggingu: obcisłe szorty, przepocone T-shirty i buty firmy Nike. Domyślił się, że to drużyna hokeja na trawie. Biegnąca na czele wysportowana dziewczyna musiała być ich kapitanem, szlifującym przed sezonem formę podopiecznych.

Dziewczęta skręciły na teren uczelni i wyobraźnia podsunęła mu nagle obraz tak sugestywny i podniecający, że przez chwilę miał trudności z prowadzeniem samochodu. Wyobraził je sobie w szatni – tę pulchną namydlającą się pod prysznicem, tę rudą wycierającą ręcznikiem długie kasztanowe włosy, tę czarnoskórą wkładającą białe koronkowe majtki, tę, która jest kapitanem drużyny, przechadzającą się nago między szafkami i prężącą mięśnie. Nagle dzieje się coś, co im zagraża. Dziewczyny wpadają w panikę, zaczynają płakać, ich oczy rozszerza przerażenie. Biegają w kółko, zderzając się ze sobą.

Ta gruba przewraca się na podłogę i leży, zanosząc się bezsilnym płaczem. Inne depczą po niej, próbując się desperacko ukryć, znaleźć drzwi, uciec przed tym, co je przeraża.

Zjechał na bok i wyłączył bieg. Oddychał szybko i czuł, jak serce wali mu w piersi. To była najbardziej sugestywna wizja, którą pamiętał. Brakowało w niej jednak małego szczegółu. Czego się tak przestraszyły? Przez chwilę szukał odpowiedzi w swej bujnej wyobraźni, a potem westchnął z rozkoszy, kiedy przyszła mu do głowy: pożar. W szatni szaleje pożar, a one boją się ognia. Krztusząc się i kaszląc, drepczą w kółko, półnagie i ogłupiałe.

– Mój Boże – szepnął, patrząc prosto przed siebie, widząc całą scenę, tak jakby projektor wyświetlał ją na przedniej szybie datsuna.

Po kilku chwilach ochłonął. Wciąż był podniecony, ale sama wizja przestała mu wystarczać; podobnie jak myśl o kuflu piwa nie wystarcza komuś, kogo pali silne pragnienie. Podniósł skraj podkoszulka i wytarł nim pot z twarzy. Wiedział, że powinien zapomnieć i odjechać, ale wizja była zbyt wspaniała. Jej urzeczywistnienie wiązało się z wielkim ryzykiem – gdyby go złapano, trafiłby na długie lata do więzienia – ale zagrożenie nigdy jeszcze nie powstrzymało go przed tym, na co miał ochotę. Starał się opanować pokusę, lecz trwało to tylko sekundę.

– Chcę tego – mruknął, po czym zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i wjechał przez majestatyczną bramę na teren kampusu.

Był tutaj już wcześniej. Uniwersytet zajmował czterdzieści hektarów błoni, ogrodów i lasów. Budynki wzniesiono na ogół ze standardowej czerwonej cegły, ale było również kilka nowoczesnych gmachów ze szkła i betonu; wszystkie łączyły się ze sobą plątaniną wąskich alejek, obstawionych parkometrami.

Drużyna hokeja na trawie zniknęła, ale znalezienie sali gimnastycznej nie sprawiło mu większych trudności. Mieściła

się w niskim budynku obok bieżni; przed wejściem stała figura dyskobola. Mężczyzna zatrzymał się przy parkometrze, ale nie wrzucił do niego monety; nigdy nie wrzucał monet do parkometrów. Muskularna kapitan drużyny hokejowej stała na stopniach sali, rozmawiając z facetem w porozpruwanej bluzie. Mężczyzna z datsuna wbiegł po stopniach, uśmiechnął się po drodze do dziewczyny i pchnął drzwi prowadzące do budynku.

W hallu roiło się od wchodzących i wychodzących dziewcząt i chłopców w szortach i opaskach na włosach, z rakietami w rękach i sportowymi torbami zawieszonymi na ramieniu. Dla większości drużyn uniwersyteckich niedziela była dniem treningu. Siedzący za biurkiem strażnik sprawdzał legitymacje studenckie; ale kiedy do środka wbiegła razem duża grupa biegaczy i część z nich zapomniała je pokazać, strażnik wzruszył po prostu ramionami i wsadził z powrotem nos w czytaną książkę.

Nieznajomy odwrócił się i zaczął oglądać stojące w gablocie srebrne puchary zdobyte przez miejscowych sportowców. Chwilę później do hallu wbiegli piłkarze – dziesięciu chłopaków i klocowata dziewczyna w butach z kolcami – i szybko się do nich przyłączył. Przeciął żwawym krokiem hall i zbiegł razem z nimi szerokimi schodami. Piłkarze, którzy rozmawiali o meczu, ciesząc się ze zdobytej bramki i oburzając na złośliwy faul, w ogóle nie zwrócili uwagi na nieznajomego.

Szedł lekkim niedbałym krokiem, ale oczy miał szeroko otwarte. Na dole był kolejny mały hall z maszyną do coca-coli i płatnym telefonem w osłonie akustycznej. Do męskiej szatni wchodziło się bezpośrednio z hallu, ale gruba dziewczyna skręciła w długi korytarz. Żeńską szatnię architekt dołączył pewnie do projektu w ostatniej chwili: w czasach gdy słowo „koedukacyjny” miało seksualny podtekst, nie wyobrażał sobie, że na uniwersytecie będzie studiować tyle dziewczyn.

Nieznajomy podniósł słuchawkę i udał, że szuka ćwierćdolarowej monety. Mężczyźni wchodzili gęsiego do swojej szatni. Patrzył, jak dziewczyna idzie korytarzem, a

potem otwiera jakieś drzwi i znika. Prowadziły na pewno do szatni. Były tam wszystkie, pomyślał podniecony. Rozbierały się, brały prysznic, wycierały ręcznikami. To, że znajdował się tak blisko, nie dawało mu spokoju. Otarł brew rąbkiem podkoszulka. Żeby urzeczywistnić swoją wizję, musiał je tylko śmiertelnie nastraszyć.

Uspokoił się. Nie zepsuje sobie zabawy przez zbytni pośpiech. Potrzebował kilku minut, żeby to porządnie zaplanować.

Kiedy wszyscy zniknęli, ruszył korytarzem. Prowadziło z niego troje drzwi, jedne po prawej i lewej i jedne na końcu. Dziewczyna wybrała te po prawej stronie. Otworzył ostatnie i zobaczył potężne instalacje, najprawdopodobniej kotły i filtry do basenu. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Wewnątrz rozbrzmiewał cichy pomruk urządzeń elektrycznych. Wyobraził sobie dziewczynę, oszalałą ze strachu i ubraną tylko w bieliznę – biustonosz i majtki ozdobione kwiatkami – leżącą na podłodze i przyglądającą się z przerażeniem, jak rozpina pasek. Przez chwilę rozkoszował się tym obrazem. Dzieliło go od niej tylko kilka metrów. W tej chwili myślała pewnie o tym, co będzie robić wieczorem. Może miała chłopaka i zastanawiała się, czy tej nocy pozwoli mu pójść na całość; może była studentką pierwszego roku, samotną i trochę nieśmiałą, której w niedzielny wieczór pozostało tylko oglądanie *Colombo*; a może musiała jutro oddać jakąś pracę i miała zamiar ślęczeć nad nią przez całą noc. Nic z tego, kochanie. Przygotuj się na koszmar.

Robił podobne rzeczy już wcześniej, ale nigdy na taką skalę. Odkąd pamiętał, zawsze uwielbiał straszyć dziewczyny. W liceum najbardziej lubił zaskoczyć którąś w pojedynkę gdzieś na korytarzu, i grozić jej tak długo, aż wybuchała płaczem i prosiła o litość. Dlatego właśnie musiał stale zmieniać szkoły. Czasami umawiał się z dziewczynami na randki, żeby nie różnić się tak bardzo od innych chłopaków i mieć kogoś, z kim mógłby pójść do baru. Jeśli tego oczekiwały, bzykał je,

ale zawsze wydawało mu się to trochę bezcelowe.

Każdy ma jakiegoś hysia, myślał; pewni mężczyźni przebierają się w damskie ciuchy, inni lubią, żeby ubrana w skórę dziewczyna deptała ich butami na wysokich obcasach. Znał faceta, dla którego najseksowniejszą częścią ciała kobiety były jej stopy; dostawał orgazmu, stojąc w dziale damskiego obuwia w domu towarowym i obserwując, jak wkładają i zdejmują pantofle.

On miał hysia na punkcie strachu. Podniecało go, kiedy kobieta się bała. Bez tego nie odczuwał przyjemności.

Rozglądając się metodycznie dookoła, zauważył przymocowaną do ściany drabinę, nad którą znajdowała się zamykana od środka żelazna klapa. Wspiął się szybko po szczeblach, odsunął rygle i podniósł ją. Przed sobą zobaczył opony stojącego na parkingu chryslera. Ustaliwszy, że znajduje się na tyłach budynku, zasunął z powrotem rygle i zszedł na dół.

Kiedy zamykał za sobą drzwi kotłowni, idąca z naprzeciwka dziewczyna zmierzyła go nieprzyjaznym spojrzeniem. Przeżył chwilę niepokoju; mogła zapytać go, czego, do cholery, szuka koło damskiej szatni. Czegoś takiego nie przewidział w swoim scenariuszu. W tym momencie mogło to popsuć cały plan. Ale ona spojrzała na jego czapkę i widząc napis SECURITY, odwróciła się i weszła do szatni.

Uśmiechnął się. Kupił tę czapkę w sklepie z pamiątkami za osiem dolców dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Ludzie przyzwyczaili się do ubranych w dżinsy strażników na koncertach rockowych, do detektywów, którzy nie różnili się od przestępców, dopóki nie wyciągnęli odznaki, a także do ubranych w swetry policjantów na lotnisku; trudno było pytać o legitymację każdego palanta, który twierdził, że jest ochroniarzem.

Nacisnął klamkę drzwi naprzeciwko damskiej szatni. W środku znajdował się mały magazyn. Zapalił światło i zamknął za sobą drzwi.

Na regałach leżał stary sprzęt sportowy: wielkie, czarne

piłki lekarskie, zużyte gumowe materace, maczugi gimnastyczne, zdefasonowane rękawice bokserskie i rozklekotane składane krzesła. Obok stał kozioł z popękaną skórą i złamaną nogą. W powietrzu unosił się zapach pleśni. Pod sufitem biegła duża srebrna rura. Domyślił się, że tłoczy świeże powietrze do szatni po drugiej stronie korytarza.

Sięgnął do góry i spróbował odkręcić śruby łączące rurę z większym urządzeniem, które wyglądało na wentylator. Nie udało mu się to gołymi rękami, ale miał klucz w bagażniku datsuna. Kiedy odkręci śruby, wentylator zamiast z rury będzie pobierał powietrze z magazynu.

Rozpali ogień na podłodze. Kupi kanister benzyny, odleje jej trochę do butelki po perrierze i przyniesie tutaj razem z pudełkiem zapałek, gazetą na rozpałkę i kluczem.

Ogień szybko się rozprzestrzeni i w górę zaczną walić gęste kłęby dymu. Wtedy zakryje sobie usta i nos mokrą szmatą, odczeka chwilę i odkręci rurę. Wentylator zacznie wsysać dym i tłoczyć go do szatni. Z początku nikt tego nie zauważy. A potem któraś z dziewczyn pociągnie nosem i zapyta: „Czy ktoś tutaj pali papierosa?” On tymczasem otworzy drzwi magazynu i cały korytarz wypełni się dymem. Dziewczęta zorientują się w końcu, że coś jest nie w porządku, otworzą drzwi i przekonane, że pali się cały budynek, wpadną wszystkie w panikę.

Wtedy on wejdzie do szatni. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzy, będą migać biustonosze, pończochy, gołe piersi, pośladki i włosy łonowe. Niektóre z dziewczyn wybiegną nagie i mokre spod prysznica i będą szukały po omacku ręcznika; inne zaczną się ubierać; większość będzie biegać w kółko, mrużąc oczy i próbując znaleźć drzwi. Słychać będzie krzyki i szlochy. On nadal będzie udawać ochroniarza i zacznie im wydawać rozkazy: „Nie ubierajcie się! Nie ma ani chwili do stracenia! Uciekajcie! Płonie cały budynek! Szybciej! Szybciej!” Będzie je klepał po nagich pośladkach, popychał, wyrywał z rąk ubrania i obmacywał. Niektóre domyślą się może, że coś jest

nie w porządku, ale większość będzie zbyt przerażona, żeby się nad tym zastanawiać. Jeśli w środku będzie jeszcze muskularna hokeistka, starczy jej być może jasności umysłu, żeby stawić mu czoło, ale on znokautuje ją po prostu jednym celnym uderzeniem.

Spacerując po szatni, wybierze dla siebie ofiarę: ładną dziewczyną o bezbronnym spojrzeniu. Weźmie ją pod ramię i powie: „Tędy, proszę. Jestem z ochrony". Wyjdzie z nią na korytarz, a potem skręci do kotłowni. I dokładnie wtedy, gdy biedaczka pomyśli, że jest bezpieczna, uderzy ją najpierw w twarz, a potem w brzuch i rzuci na podłogę. Będzie patrzył, jak się turla po brudnym betonie, a potem niepewnie siada, płacząc i wpatrując się w niego z przerażeniem w oczach.

Wtedy uśmiechnie się i rozepnie pasek.

2

– Chcę wracać do domu – oświadczyła pani Ferrami.

– Nie martw się, mamo, zabierzemy cię stąd szybciej, niż myślisz – odparła jej córka Jeannie.

Młodsza siostra Jeannie, Patty, posłała jej spojrzenie, które mówiło: Jak sobie to, do licha, wyobrażasz?

Ubezpieczenie mamy starczało wyłącznie na umieszczenie w domu opieki Bella Vista, który sprawiał wyjątkowo obskurne wrażenie. W pokoju stały dwa szpitalne łóżka, dwie szafki nocne, kanapa i telewizor. Ściany pomalowane były na brunatny kolor, a podłoga wyłożona plastikowymi kremowopomarańczowymi płytkami. Okna miały kraty zamiast zasłon i wychodziły na stację benzynową. Umywalka była w rogu pokoju, toaleta na korytarzu.

– Chcę wracać do domu – powtórzyła pani Ferrami.

– Ale ty wszystko zapominasz, mamo. Nie możesz już dłużej sama mieszkać – powiedziała Patty.

– Oczywiście, że mogę, nie waż się do mnie mówić w ten sposób.

Jeannie przygryzła wargę. Gdy spoglądała na wrak człowieka, który był kiedyś jej matką, chciało jej się płakać. Mama miała mocne rysy: czarne brwi, ciemne oczy, prosty nos, szerokie usta i wystające kości policzkowe. I chociaż była

niskiego wzrostu, a jej córki wysokie jak ojciec, Jeannie i Patty odziedziczyły po niej typ urody. I wszystkie trzy odznaczały się, zgodnie z tym, co sugerowały rysy twarzy, silnym charakterem; słowem, którego używano najczęściej, by je opisać, było „imponujące”. Ale mama już nigdy nie będzie imponująca. Miała alzheimera.

Nie skończyła jeszcze sześćdziesiątki. Dwudziestodziewięcioletnia Jeannie i dwudziestosześcioletnia Patty miały nadzieję, że przez kilka lat mama będzie sobie jeszcze jakoś radzić, ale nadzieja ta legła w gruzach o godzinie piątej tego ranka, kiedy gliniarz z Waszyngtonu zadzwonił do Jeannie i zakomunikował jej, że znalazł mamę w brudnej nocnej koszuli na Osiemnastej Ulicy, powtarzającą z płaczem, że zapomniała, gdzie mieszka.

Jeannie wsiadła do samochodu i pojechała w ten cichy niedzielny ranek do Waszyngtonu, oddalonego o godzinę jazdy z Baltimore. Odebrała mamę z posterunku, odwiozła do domu, umyła ją i ubrała, po czym zadzwoniła do Patty. Obie siostry załatwiły następnie mamie miejsce w domu spokojnej starości Bella Vista w mieście Columbia, w połowie drogi między Waszyngtonem i Baltimore. Spędziła w nim swoje ostatnie lata ich ciotka Rosa. Miała taką samą polisę ubezpieczeniową jak mama.

– Nie podoba mi się to miejsce – stwierdziła mama.

– Nam też – odparła Jeannie – ale w tej chwili to wszystko, na co nas stać. – Chciała być rzeczowa i rozsądna, lecz jej słowa zabrzmiały bardziej szorstko, niż zamierzała.

Patty spojrzała na nią z dezaprobatą.

– Daj spokój, mamo, mieszkałyśmy już w gorszych warunkach – powiedziała.

To była prawda. Kiedy ich ojciec trafił po raz drugi za kratki, mama i dwie córki zamieszkały w jednym pokoju z płytą grzejną na kredensie i kranem na korytarzu. To były lata pomocy społecznej. Ale przeciwności losu zawsze mobilizowały mamę do działania. Kiedy tylko Jeannie i Patty

poszły do szkoły, znalazła pracę – była fryzjerką, niezłą, chociaż może mało oryginalną – wynajęła godną zaufania starszą panią, która opiekowała się dziewczynkami, gdy wróciły do domu, i przeniosła się do małego mieszkanka z dwiema sypialniami, w Adams-Morgan, porządnej robotniczej dzielnicy.

Smażyła grzanki na śniadanie, wysyłała Jeannie i Patty do szkoły w czystych ubraniach, a potem czesała się i malowała – trzeba było wyglądać elegancko, kiedy pracowało się w salonie – i zawsze zostawiała wysprzątaną kuchnię i ciasteczka dla dziewczynek, kiedy wracały do domu. W niedzielę wszystkie trzy robiły porządki i duże pranie. Mama zawsze wydawała się taka zaradna, taka solidna i wytrzymała, że żal było patrzeć na tę leżącą w łóżku narzekającą kobietę.

Teraz zmarszczyła brzwi, jakby coś ją zadziwiło.

– Dlaczego nosisz kolczyk w nosie, Jeannie? – zapytała.

Jeannie dotknęła palcem delikatnego srebrnego kółka i lekko się uśmiechnęła.

– Kazałam sobie przekłuć nos, kiedy byłam dzieckiem, mamo. Pamiętasz, jak się z tego powodu wściekałaś? Myślałam, że wyrzucisz mnie na ulicę.

– Zapomniałam – szepnęła mama.

– Ja pamiętam – powiedziała Patty. – Uważałam, że to najwspanialszy pomysł pod słońcem. Ale miałam wtedy jedenaście, a ty czternaście lat i wszystko, co robiłaś, wydawało mi się odważne, mądre i zgodne z najnowszą modą.

– Może wcale się nie myliłaś – rzuciła żartem Jeannie.

Patty zachichotała.

– Na pewno nie można było tego powiedzieć o pomarańczowej kurtce.

– Mój Boże, ta kurtka. Mama spaliła ją w końcu po tym, jak nocowałam w opuszczonym budynku i oblazły mnie pchły.

– Pamiętam to – odezwała się nagle mama. – Pchły u mojego dziecka! – Wciąż ją to oburzało, mimo że minęło piętnaście lat.

Nagle poprawiły im się humory. Wspomnienia uświadomiły

im, jak bardzo były kiedyś ze sobą związane. To był najlepszy moment, żeby wyjść.

– Muszę już lecieć – oświadczyła, wstając, Jeannie.

– Ja też – powiedziała Patty. – Muszę zrobić obiad.

Żadna z córek nie kwapiła się jednak do drzwi. Jeannie dręczyło poczucie, że porzuca matkę w potrzebie. W tym miejscu nikt jej nie kochał. Powinna się nią opiekować rodzina. Jeannie i Patty powinny u niej zamieszkać, powinny gotować posiłki, prasować nocne koszule i nastawiać telewizor na jej ulubiony program.

– Kiedy was znowu zobaczę? – zapytała mama.

Jeannie zawahała się. Chciała powiedzieć: „Jutro. Przyniosę ci śniadanie i zostanę z tobą przez cały dzień". Ale to było niemożliwe, czekał ją pracowity tydzień. Ogarnęło ją poczucie winy. Jak mogę być taka okrutna?

Patty przyszła jej w sukurs.

– Przyjadę jutro – obiecała – i przywiozę ze sobą dzieci. Zobaczysz, będzie wspaniale.

Mama nie zamierzała jednak tak łatwo odpuścić starszej córce.

– Ty też przyjedziesz?

– Kiedy tylko będę mogła – oparła Jeannie. Pochyliła się nad łóżkiem i czując, jak żal dławi ją w gardle, pocałowała matkę. – Kocham cię, mamo. Postaraj się o tym nie zapomnieć.

Gdy znalazły się na korytarzu, Patty wybuchła płaczem.

Jeannie też chciało się płakać, lecz była starsza i dawno temu przyzwyczaiła się panować nad własnymi uczuciami i opiekować Patty. Objęła ją ramieniem i ruszyły razem aseptycznym korytarzem. Patty nie miała słabego charakteru; była po prostu bardziej zgodna od wojowniczej i upartej Jeannie. Mama zawsze krytykowała starszą córkę, twierdząc, że powinna być podobna do Patty.

– Chciałabym ją zabrać do siebie do domu, ale nie mogę – odezwała się ze smutkiem Patty.

Jeannie pokiwała głową. Jej siostra wyszła za mąż za

stolarza, niejakiego Zipa. Mieszkali w małym domku z dwiema sypialniami. Drugą sypialnię zajmowali ich trzej synowie. Davey miał sześć, Mel cztery, a Tom dwa lata. Nie było gdzie umieścić babci.

Jeannie mieszkała sama. Jako asystentka na Uniwersytecie Jonesa Fallsa zarabiała trzydzieści tysięcy dolarów rocznie – znacznie mniej, była tego pewna, niż mąż Patty. Zaciągnęła właśnie swój pierwszy dług hipoteczny, kupiła dwupokojowe mieszkanie i umeblowała je na kredyt. W pokoju dziennym miała aneks kuchenny, w sypialni szafę i malutką łazienkę. Gdyby oddała mamie swoje łóżko, musiałaby co noc spać na kanapie; poza tym przez cały dzień nie byłoby tam nikogo, kto mógłby się zaopiekować kobietą chorą na alzheimera.

– Ja też nie mogę jej wziąć – powiedziała.

Patty, mimo że zapłakana, wpadła nagle w gniew.

– Więc po co mówiłaś, że ją stąd zabierzemy? Nie możemy tego zrobić!

Wyszły na zewnątrz i uderzyła je w twarz fala gorąca.

– Jutro pojadę do banku i wezmę pożyczkę – oznajmiła Jeannie. – Umieścimy ją w lepszym domu i dopłacę do tego, co daje ubezpieczenie.

– Ale jak spłacisz kredyt? – zapytała praktycznie Patty.

– Za parę lat zostanę adiunktem, a potem profesorem. Załatwię sobie zlecenie na napisanie podręcznika, a także posadę konsultanta w trzech międzynarodowych koncernach.

Patty uśmiechnęła się przez łzy.

– Ja ci wierzę, ale czy uwierzą ci w banku?

Zawsze wierzyła w Jeannie. Sama nigdy nie była zbyt ambitna. Uczyła się średnio w szkole, wyszła za mąż w wieku dziewiętnastu lat i bez większego żalu poświęciła się wychowaniu dzieci. Jeannie była inna. Najlepsza w klasie, pełniła funkcję kapitana wszystkich szkolnych drużyn, doszła do niezłych wyników w tenisie i ukończyła studia, korzystając ze stypendiów sportowych. Kiedy mówiła, że coś zrobi, młodsza siostra ani przez chwilę w to nie wątpiła.

Patty miała jednak rację, bank nie da jej kolejnej pożyczki zaraz po sfinansowaniu zakupu mieszkania. Poza tym zaczęła dopiero pracować jako asystentka; musiało upłynąć co najmniej trzy lata, nim można było pomyśleć o awansie.

– Trudno, sprzedam samochód – powiedziała z desperacją Jeannie, kiedy dotarły do parkingu.

Kochała swój samochód. Był to liczący dwadzieścia jeden lat mercedes 230C, czerwony dwudrzwiowy sedan z czarnymi skórzanymi siedzeniami. Kupiła go przed sześciu laty za pięć tysięcy dolarów, które dostała za zdobycie pierwszego miejsca w turnieju tenisowym Mayfair Lites College. Posiadanie starego mercedesa nie było jeszcze wówczas szczytem mody.

– Teraz jest prawdopodobnie wart dwa razy więcej, niż za niego zapłaciłam – dodała.

– Ale musisz przecież kupić sobie inny samochód – przypomniała jej bezlitośnie praktyczna Patty.

– Masz rację. – Jeannie westchnęła. – No cóż, mogę wziąć korepetycje. To niezgodne z regulaminem Jonesa Fallsa, ale mogłabym prawdopodobnie dostać ze czterdzieści dolców za godzinę, ucząc statystyki poprawkowiczów, którzy oblali egzamin na innych uczelniach. To dałoby trzysta dolarów tygodniowo, wolne od podatku, jeśli tego nie zgłoszę. – Jeannie spojrzała siostrze prosto w oczy. – A ty zdołasz coś zaoszczędzić?

Patty spuściła wzrok.

– Nie wiem.

– Zip zarabia więcej ode mnie.

– Zabiłby mnie, gdyby to słyszał, ale sądzę, że możemy zaoszczędzić siedemdziesiąt pięć do osiemdziesięciu dolarów tygodniowo – przyznała w końcu Patty. – Namówię go, żeby poprosił o podwyżkę. Trochę się krępuje, ale wiem, że na nią zasłużył, a szef nawet go lubi.

Jeannie rozpogodziła się nieco, chociaż perspektywa uczenia w niedzielę ograniczonych umysłowo poprawkowiczów nie była zbyt wesoła.

– Za dodatkowe czterysta dolarów tygodniowo pewnie udałoby się załatwić mamie własny pokój z łazienką.

– Mogłaby wtedy trzymać tam trochę więcej swoich rzeczy. Bibeloty i może jakieś meble z mieszkania.

– Popytajmy, czy ktoś nie zna jakiegoś miłego miejsca.

– Dobrze – odparła Patty, ale coś najwyraźniej nie dawało jej spokoju. – Choroba mamy jest dziedziczna, prawda? – zapytała w końcu. – Widziałam o tym program w telewizji.

Jeannie pokiwała głową.

– Jest pewien defekt genetyczny, AD3, który wiąże się z wczesnym rozwojem alzheimera. – Pamiętała, że defekt znajduje się w chromosomie 14q24.3, ale to i tak nie powiedziałoby nic Patty.

– Czy to znaczy, że ty i ja skończymy tak samo jak mama?

– To znaczy, że istnieje taka możliwość.

Przez chwilę obie milczały. Perspektywa wczesnej demencji była zbyt przygnębiająca, by o niej mówić.

– Cieszę się, że urodziłam młodo dzieci – odezwała się Patty. – Kiedy mnie to spotka, będą wystarczająco dojrzałe, żeby o siebie zadbać.

Jeannie wyczuła w jej głosie cień wymówki. Patty, podobnie jak mama, uważała, że coś jest nie w porządku, jeśli dwudziestodziewięcioletnia kobieta nie ma jeszcze dzieci.

– To, że znaleźli ten gen – odezwała się po chwili Jeannie – daje pewną nadzieję. Oznacza, że kiedy będziemy w wieku mamy, będą mogli nam wstrzyknąć zmodyfikowaną wersję naszego własnego DNA. Bez zdefektowanego genu.

– Mówili o tym w telewizji. Nazywa się to rekombinacyjną technologią DNA, prawda?

Jeannie uśmiechnęła się do siostry.

– Zgadza się.

– Widzisz, nie jestem taka głupia.

– Nigdy nie uważałam, że jesteś głupia.

– Ale skoro to właśnie DNA czyni mnie tym, kim jestem – dodała z poważną miną Patty – czy jego zmiana nie sprawi,

że stanę się inną osobą?

– Nie tylko DNA czyni cię tym, kim jesteś. Ma na to wpływ również twoje wychowanie.

– Jak ci się podoba nowa praca?

– Jest ekscytująca. To dla mnie wielka szansa, Patty. Mnóstwo ludzi czytało mój artykuł o skłonnościach przestępczych. O tym, czy są zapisane w naszych genach.

Nad artykułem opublikowanym rok wcześniej, gdy pracowała jeszcze na Uniwersytecie Minnesota, widniało również nazwisko jej promotora, ale to ona wykonała całą robotę.

– Nigdy nie mogłam dojść, czy twoim zdaniem skłonności przestępcze są, czy też nie są dziedziczne – powiedziała Patty.

– Wyodrębniłam cztery dziedziczne cechy, które prowadzą do zachowań przestępczych: impulsywność, odwagę, agresywność i hiperaktywność. Ale według mojej teorii pewien sposób wychowywania dzieci neutralizuje te cechy i zmienia potencjalnych przestępców w porządnych obywateli.

– Jak można w ogóle udowodnić coś takiego?

– Badając wychowywane oddzielnie identyczne bliźniaki. Identyczne bliźniaki mają takie same DNA. I kiedy adoptuje się je przy urodzeniu albo rozdzieli z innych powodów, każde z nich wychowywane jest inaczej. Szukam więc par bliźniaków, z których jeden jest przestępcą, a drugi normalnym obywatelem. Następnie zaś badam, jak byli wychowywani i co takiego ich rodzice robili inaczej.

– Twoja praca jest naprawdę ważna – stwierdziła Patty.

– Ja też tak sądzę.

– Musimy dowiedzieć się, dlaczego tak wielu Amerykanów schodzi dzisiaj na złą drogę.

Jeannie pokiwała głową. Tak można to było ująć w olbrzymim skrócie.

Patty skręciła do własnego samochodu, wielkiego starego forda kombi, którego tył wypełniały kolorowe dziecięce klamoty: rakiety, piłki, złożona spacerówka, trójkołowy rowerek

i wielka ciężarówka z urwanym kołem.

– Ucałuj ode mnie mocno chłopaków – powiedziała Jeannie.

– Dzięki. Zadzwonię do ciebie jutro, kiedy zobaczę się z mamą.

Jeannie wyjęła kluczyki, zawahała się, a potem podeszła z powrotem do Patty i uściskała ją.

– Kocham cię, siostrzyczko – powiedziała.

– Ja też cię kocham.

Wsiadła do samochodu i odjechała.

Czuła się psychicznie obolała i rozdrażniona. Targały nią sprzeczne uczucia do mamy, do Patty i do ojca, którego praktycznie nie znała. Wjechała na autostradę I-70 i pędziła zdecydowanie za szybko, zmieniając co chwila pasma. Zastanawiała się, co zrobić z resztą dnia. O szóstej była umówiona na tenisa, potem miała pójść na piwo i pizzę z grupą studentów i młodych asystentów wydziału psychologii. Jej pierwszą myślą było odwołać wszystko, nie chciała jednak siedzieć cały wieczór w domu i się zamartwiać. Postanowiła, że zagra w tenisa; ruch na świeżym powietrzu dobrze jej zrobi. Potem skoczy na godzinkę do baru Andy'ego i pójdzie wcześniej spać.

Ten dzień miał jednak wyglądać zupełnie inaczej.

Jej przeciwnikiem na korcie był Jack Budgen, dyrektor biblioteki uniwersyteckiej. Brał kiedyś udział w turnieju wimbledońskim i chociaż przerzedziły mu się włosy i skończył pięćdziesiąt lat, wciąż był w dobrej formie i nie zapomniał, czego się niegdyś nauczył. Jeannie nie grała nigdy w Wimbledonie – szczytem jej sportowej kariery okazało się zakwalifikowanie się do olimpijskiej drużyny Stanów Zjednoczonych jeszcze za studenckich czasów – była jednak silniejsza i szybsza od Jacka.

Grali na jednym z wysypanych czerwoną glinką kortów Jonesa Fallsa. Byli godnymi siebie przeciwnikami i mecz

przyciągnął niewielką grupkę widzów. Na kortach nie obowiązywały jakieś szczególne wymogi co do stroju, ale Jeannie grała zawsze w nieskazitelnie białych szortach i białej koszulce polo. Miała długie ciemne włosy, nie takie jedwabiste i proste jak Patty, lecz kręcone i niesforne. Na czas gry wetknęła je pod czapkę z daszkiem.

Serwis Jeannie był zabójczy, a bity oburącz z backhandu cross nie dawał przeciwnikowi żadnych szans. Jack nie mógł wiele poradzić na serwis, ale po kilku pierwszych gemach starał się nie dawać jej zbyt wielu okazji na smecz z backhandu. Grał chytrze, oszczędzając siły i czekając na błąd przeciwniczki, która przyjęła zbyt agresywną taktykę: popełniała podwójne błędy serwisowe i zbyt wcześnie podbiegała do siatki. W normalnych okolicznościach mogła go pokonać, ale tego dnia była zdekoncentrowana i nie zawsze potrafiła odgadnąć jego zamiary. Wygrali każde po jednym secie. Wynik trzeciego wynosił pięć do czterech i Jeannie zorientowała się nagle, że broni piłki meczowej.

Po kolejnych dwóch wyrównaniach Jack zdobył punkt i miał teraz przewagę. Jeannie posłała pierwszy serwis w siatkę i w tłumie rozległo się zbiorowe westchnienie. A potem, zamiast posłać wolniejszą normalną piłkę, postawiła wszystko na jedną kartę i zaserwowała tak, jakby to był pierwszy serwis. Jack z wyraźnym trudem odbił, posyłając jej piłkę na backhand. Jeannie zasmeczowała i podbiegła do siatki. Jak się jednak okazało, Jack całkowicie panował nad sytuacją i odwzajemnił się idealnie uplasowanym lobem, który przeleciał jej nad głową i wylądował tuż przed tylną linią, dając mu zwycięstwo.

Jeannie oparła dłonie na biodrach i popatrzyła na piłkę, wściekła na siebie. Chociaż od paru lat nie grała już poważnych meczy, była ambitna i bolała ją każda przegrana. Po chwili opanowała się, przywołała na twarz uśmiech i obróciła się do Jacka.

– Piękny strzał! – zawołała, po czym podbiegła do siatki i uścisnęła mu rękę.